Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 1. Poznań, dnia 6. Stycznia. 1840.

Literatura zagraniczna.

De vita hominis aeterna
scripsit Bronislaus Ferdinandus Trentowski.
Friburgi Brisigavorum.

Powyższą rzecz o życiu wieczném człowieka napisał szanowny ziomek nasz p. Trentowski, którego ważne dzieło o filozofii uniwersalnéj, podaliśmy już dawniéj w krytycznym rozbiorze w kolumnach pisma tego. Jest to rozprawa, która mu zjednała pozwolenie wykładania filozofii przy uniwersytecie w Frejburgu w Bryzgowii. Niemcy, poszczycający się dotąd sami jedni głębokością spekulacyjnych pomysłów przed wszystkiemi innemi narodami, znaleźli tu współzawodnika, gdzie go się najmniéj spodziewali. Zdumieni patrzą się na Polaka, stawającego w rzędzie ich filozofów, obok Leibniców, Kantów, Fichtych, Heglów. Z ciekawości zrazu saméj, idą go słuchać, biorą pisma jego do ręki; ale zaledwie posłyszeli pierwsze zdania, zaledwie przeczytali kart kilka, porywa ich wir myśli, zachwyca szczytność i żywość wyrazu, i obejrzawszy nowe tajnie pomysłów sławiańskiéj głowy, zadowolnieni, z wyrugowaném z serc uprzedzeniem, oddają świadectwo prawdzie. Z tego zatém względu, jako też i dla samego przedmiotu, ważną a ciekawą jest rozprawa dla nas współziomków autora.

Napisana jest w języku łacińskim, bo taki jest zwyczaj między uczonymi; może dla tego, aby uczoność tém uczeńszą się wydała. Choć takiego języka, użytego mianowicie na oddanie nowych licznych pojęć niemieckiéj filozofii, Rzymianinby nieboszczyk, którego snać łaciną honorują, nie rozumiał i zatykał uszy, a trząsł gniewliwemi usty na barbaras voces; — to jednak uczeni mile téj łamaniny słuchają, nie żeby im się podobała, ale że im schlebia erudycyą, że jak toga obrzucona na schudłe pokurczone członki, nadaje rzeczy, wielekroć równie jałowéj i suchotnéj, umiejętnego pozoru napuszonéj powagi. Czasby zrzucić uczonym tę maskę. Wolter w długiéj pudrowanéj w kędziory peruce, z wyłożystym gorsem, frakiem jedwabnym w kwiaty po kostki, wydawał się tak ustrojony ludziom swojego wieku poważną figurą; dziś strój taki przeszedł w śmieszność, wisi w garderobach maskowych. Ale i to jeszcze uchodzi, bo na zapustnéj pohulance szukamy śmiechu i wesołéj myśli: lecz gdy tam zoczymy poważną wiekiem, szanowną zasługami osobę, przybraną w pstrocinę arlekina, śmieszność ginie, a niedorzeczność nas uderza. Czemże jest łacina pozszywana z kawałków, wykrojonych to z komików rzymskich, to z Cycerona, to z Seneki, to połatana skrawkami nowszéj mody scholastycyzmu i niemieckiéj spekulacyjnéj łaciny; i w to wszystko przyobleczona filozofia tegoczesna?

Nasz Trentowski ułożył rzecz swoją po łacinie, bo tak mu kazał zwyczaj, przepis; i skoro tylko mógł wyzuł ją co prędzéj z téj sukni, nie na nią robionéj, i przypisy do rozprawy napisał po niemiecku. Rzecz sama przez łacinę nie zarobiła na pozorze, bo go nie potrzebowała, a straciła na wziętości, bo tylko uczonym stała się przystępną; a przecież, któżby nie chciał nabrać filozoficznéj pewności o życiu wiecznem? kto wśród zamętu niedowiarstwa lub pojęć chorobliwéj wyobraźni o duszach zmarłych, nie pragnąłby oświecić się prawdą, przekonaniem? Prawdać z drugiéj strony, że źle tam z wiarą w żywot wieczny, gdzie go trzeba dowodzić; a to jest jedno z tych twardych pytań, którego rozwiązanie podobno nigdy się tak nie uda rozumowi, jak wierze. Zobaczmyż, jak mu podołał nasz autor.

System filozofii Trentowskiego powstał ze zlewku dwóch przeciwnych sobie systemów, przedmiotowego, czyli materyalnego i subjektowego, czyli idealnego widzenia rzeczy. Na ten sam sposób powstała i nauka jego o żywocie wiecznym. Popatrzył się po wyobrażeniach i tych, co utrzymują, iż dusza po śmierci wraca do ogólnéj duchowéj jedności, i tylko pod tym względem jest nieśmiertelna; i tych, co nauczają, że jak za życia na ziemi była osobą, tak i uwolniona z więzów ciała żyć będzie wiecznie, jako osobna istota. Na ten cel wprowadził na scenę dwóch przyjaciół, reprezen-

tantów dwóch pomienionych przeciwnych wyobrażeń; i ci przekonywując się nawzajem, a brnąc coraz daléj w konsekwencyach założonego twierdzenia, odsłaniają jeden drugiemu wszystkie onych wyobrażeń słabe strony i niedorzeczności; aż nareszcie Flavius, co bronił nieśmiertelności dusz według zasad wiary, a rozumowym wnioskom przeciwnika podołać nie mógł, pozstał się z nim obrażony. Cały ten dyalog pełen jest życia i trafnych nader myśli.

W drugiéj części pisma zajmuje sam autor opuszczone przez zawodników szranki i wykłada naukę o życiu wiecznêm według własnych zasad. Dla łatwiejszego wystawienia rzeczy, obejmiemy ją tu w czterech punktach:

1) Stósunek materyi do ducha. — Nie to jest prawda, co sam zmysł chwyta, ni to, co sama myśl objawia, ale co człowiek dostrzega; a dostrzeżenie jest aktem myśli i zmysłów razem. Ciało i dusza, materya i duch, świat i Bóg, są to abstrakcyjne saméj myśli rozstępy, rzeczywiście w takiém rozdwojeniu nie istniejące. Bóg jest nierozerwaną jednością materyi i ducha, świat jego objawieniem; człowiek podobnie jest węzłem ciała i duszy, żywot jego pojawem. Nie jest to połączenie się jakie, ale przeniknienie się wzajemne, tak jak n. p. wyraz wymówiony przenika się ze znaczeniem swojém, iż nie masz wyrazu bez znaczenia, znaczenia bez wyrazu, chociaż człowiek jedno i drugie myślą wyróżnić mocen.

2) Stósunek czasu do wieczności. — Bóg jest jeden zawsze i ten sam, nieskończony, wszędzie obecny; pod tym względem wieczny i czasowy razem; wieczny przez jedność i tożsamość istoty swojéj, czasowy przez jéj ciągłe objawianie się. Czas i wieczność są więc formy Boga, przywiązane do tego, czém jest. Czas jest wieczność nieustannie wykrywająca się, a dla téj nieustanności nie może mieć ani początku, ani końca, ale ma przeszłość i przyszłość. Czas objawia się przez ruch, życie; wieczność przez śmierć, ustanek wszelkiego ruchu. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, jako same formy są tylko abstrakcye, ich rzeczywistość jest w tém, co minęło, w tém, co jest, i w tém, co będzie. To wszystko razem wzięte jest wieczności rzeczywistością. Przeszłość zatém tak pojęta, jest taką samą rzeczywistością co teraźniejszość. To, co było, nie przestało być, nie obróciło się w nic, ale stęgło, znieruchomiało na wieczność. I człowiek więc każdy ze śmiercią nie przestał istnieć, istnąć musi na całą wieczność taki, jaki był za życia, dla tego właśnie, że był i taki był. Przeszłość, jest to pole elizejskie, jest królestwo niebieskie, pobyt wszystkiego pośmiertny, wieczny odpoczynek umarłych. W przeszłości jest wszystko zapełnione, a zapełnione tém, co było; granice jéj rozszerzają się każdą chwilą strąconą z teraźniejszości, i zapełniają się nowym przybytkiem tego wszystkiego, czém ta chwila żyła, a uroniła przez śmierć.

3) Stósunek człowieka do Boga i świata. — To, co człowieka stanowi, co jest nim samym, nie jest ciało, bo ciało odebrał od natury, jakby mieszkanie dla siebie; nie jest i dusza, bo i duszę wziął od Boga, jakby posag, majątek; a nadto ciało i duszę ma każdy człowiek, jest to więc wszystkich ludzi własność, a do tego nadana im długiem, który ze śmiercią matce ziemi, i Bogu, ojcu wracają. Musi zatém być coś trzeciego, co człowieka, jako tę a nie inną istotę stanowi, co go czyni sobą, albo osobą. Człowiekiem więc, we właściwém tego wyrazu znaczeniu, jest tylko to, co zapomocą przenikających się nawzajem sił duszy i ciała, na osobę się wyrobiło. Ciało jako ciało i dusza jako dusza z istoty swojéj do Boga należą, i pod tym względem Bóg jest stwórcą człowieka; ale od chwili poczęcia się jego już, co było boskiem, stało się ludzkiem. Ciało jako ciało i dusza jako dusza, są téj saméj istoty, co świat zewnętrzny, biorą karm swoją z niego, i pod tym względem człowiek jest synem natury; ale to wszystko zaraz przyswaja się w człowieku, zamienia na osobę, i co było naturalne, staje się człowiecze. Co więc od Boga i od świata, to nie nasze, to jest nasze człowieczeństwo niewłaściwe (seitas impura), to po śmierci, komu należy, oddać musimy; ale cośmy za pomocą Bożego i światowego daru urobili na siebie, na własną osobę, to prawdziwy żywot nasz, właściwe człowieczeństwo nasze (seitas pura); tego śmierć nie niszczy, ale po oddaniu ziemi, co jest ziemskiego, a Bogu, co jest boskiego, utrwala w nieśmiertelną postać osoby naszéj. Taka jest dusza w znaczeniu żywota wiecznego (manes), żywot jéj jest wiedza wieczna tego wszystkiego, co wiedziała, zanim stanęła na progu wieczności, a zatém wieczne przekonanie złego lub dobrego życia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Pragnienie Cudu.

„Cudu, ach! cudu“ — świat woła,
Żeby się z więzów rozkował;
Bo mu potrzeba anioła,
Coby zbawienie zwiastował! —

»Cudu!« ustami drżącemi
Woła dziecina maleńka,
I choć się kryje i lęka,
Ma tyle cacek na ziemi:
Jednakże w górę pogląda,
W bławatne niebios półkole,
I złotéj gwiazdeczki żąda,
By ją zawiesić na czole.
O! bo i dziecko w pieluchach,
Myślą cieniuchną, niejasną,
Śni o aniołach i duchach,
W pieluchach dziecku za ciasno! —

»Cudu, ach! cudu« — świat woła,
Żeby się z więzów rozkował;
Bo mu potrzeba anioła,
Coby zbawienie zwiastował! —

»Ach! cudu« — woła młodzieniec,
Gdy miłość wre w sercu czystém,
Gdy z twarzy spełznie rumieniec,
Zmiany burz życia poświstem. —
Młodzieńcze! co ci po cudzie?
Niemaszże woli żelaznéj,
By z niewieściałą w ułudzie,
Pchnąć myśl ku gwiazdzie przyjaznéj?
Gdy pragniesz ziemskiego nieba,
I po cóż w rozpaczy brodzisz?
Cudu ci niebios nietrzeba,
Chciéj tylko — cuda urodzisz! —

»Cudu, ach! cudu« — świat woła,
Żeby się z więzów rozkował;
Bo mu potrzeba anioła,
Coby zbawienie zwiastował! —

O! dziewcze miłe, nadobne,
Czemuż łzą błyszczy powieka?
Przywdziałaś suknie żałobne,
A serce czeka i czeka!
I tobie cudu pragnienie
Młodziutką pierś niepokoi,
Wyciska łzę i westchnienie,
Bo pierwszą miłość duch roi.
Lecz na cóż cudu ci żądać?
Cudem, twéj krasy ułuda,
Dosyć w twe oczy poglądać,
Ażeby uwierzyć w cuda! —

»Ach! cudu, cudu« — świat woła,
Żeby się z więzów rozkował;
Bo mu potrzeba anioła,
Coby swobodę zwiastował! —

Tam lud pod śmierci obuchem,
Gdy nad nim nieszczęścia plaga,
Lud wielki ciałem i duchem,
Cudu się z niebios domaga.
Modli się, — żeby odwrócił
Żelazo co piersiom grozi, —
By rozgrzać wicher co mrozi,
Żar modłów z piersi wyrzucił.
O! wielki, znękany ludzie,
Cudem jest własne twe ramie;
Nie modlić, marzyć o cudzie,
Lecz *chcieć*, — chęć wszystko przełamie!

»Cudu, ach! cudu« — świat woła,
Żeby się z więzów rozkował,
Bo mu potrzeba anioła,
Coby zbawienie zwiastował! —

Kiedy świat w pragnień powodzi
Zlodowaciałą pierś nurzy,
Kiedy drży przeczuciem burzy,
Która mu cuda urodzi; —
Czyż niema na ziemi całéj
Jednego nawet człowieka?
Téj duszy ognistéj, śmiałéj,
Która na cuda nieczeka.
O! jest jedyny wśród tłumu
Genijusz, cudu niepragnie,
Bo on potęgą rozumu
Do swojéj woli świat nagnie.

Genijusz »cudu!« nie woła,
Żeby świat z więzów rozkował,
Bo przybrał postać anioła,
Żeby zbawienie zwiastował! —

E. W.

Konstantyn Horodeński.

Powieść kozacka.

I.

Jarugami, stepami, sira wilczyca bieży, jak płaczka wyje, na wilczęta woła; a wilczęta niebiegną. — W jarugach głucho, na stepie pusto; tylko wycie dalekim rozgłosem het! het! niesie się i płacze i jęczy.

Stepem od Żurbiniec ku Halczyńcowi szedł starzec; na nim świta wytarta, na łokciach dziurami świeci, po brzegach strzępami się strzępi. Chołosznie łatane, wychodzone postoły, za onuczki szmaty — w ręku kij, przez plecy torba — na głowie trochę mlecznych włosów, a na twarzy kupa zmarszczek — długa broda i wąs spłowiały od wiatru i słońca, a wiek jeszcze niesterał do szczętu rodzimego blasku w siwém oku.

Patrzy na okolice — rozgląda — słońce zachodzi, już tylko połową twarzy ziemi przyświeca, druga połowa gdzieś za ziemię się zasunęła. Niebo czyste, nawet białawe chmurki po nim niewędrują — tylko jasne obłoki jakby rąbkiem cieniutkiéj namitki powlekają się jakąś mgłą, którą zaledwie dojrzeć można — to poprzedniczka zmroku.

Na polach, po jednéj stronie drożyny, złoci się żyto, złoci się i czerwieni pszenica, i razem kłonią kłosiste czoła ku zachodowi słońca. Po drugiéj stronie, sznurami, łanami, na przemiany, złoci się jęczmień i owies, jak śniegiem bieleje kwiatem hreczka, śniedzią czerwienieje kiciaste proso, pożółka groch i po dolinach zieleni się smukły len — na odłogach, na bruzdnach sterczą budiaki — a gdzie niegdzie jak węże wiją się dorożynki zarosłe zielem. — Daleko — daleko, na prawo długim rzędem ciągną się futory, jak las jaki, — w lewo niewieliczka mogiła, a za nią Halczyniec sioło.

Starzec na wszystko patrzał, zdaje się, że każdéj rzeczy z osobna wzrokiem szukał, jakby te futory, te drożyny, te pola, ta mogiła, to sioło były dawno jemu znajome. Oczy mu łzami zaszły, pierś westchnieniem się wzdęła. Siadł na carynie, oburącz sparł się na kiju, i czoło i wzrok schylił ku ziemi — czy dumał — czy wysłuchiwał.

Kiedy niekiedy przepiórka w zbożach zapidpadiacze — kiedy niekiedy dyrkacz zadyrka, skowronek na dobranoc smutnie pośpiewa — po dalekich błotach kaczki zakwaczą a żaby z głucha kumkają.

Widno w Halczyńcu, na pacierz w dzwony uderzono, bo dalekim rozgłosem podzwonne zajęczało, i żałobnie rozbijało się po powietrzu. — Starzec westchnął, jak gdyby mu serce chciało się wyłonić; — zapłakał — czy ze smutku — czy z radości — czy z przypomnienia — jedno z trojga; — złożył ręce jak do modłów, wzniósł ku niebu oczy iskrzące i łzawe zarazem; krótko a gorąco się pomodlił, i jakieś przelotne uczucie rozpogodziło jego czoło.

Podzwonny rozgłos ucichł — słońce zaszło — mrok zaszarzał — rosa bez szmeru wilżyła ziemię, — dokoła — daleko — szeroko — cicho — głucho, — tylko starzec sam dla siebie nucił:

Oj wy pola, oj wy lasy,
Oj wy moje, lube, drogie,
Dawne, dawne temu czasy,
Jak ja rzucił sioło błogie,

Już siedem lat z górą mija,
Jak pogonił ja ztąd na Krym
Koniem szparkim, gdyby żmija
W ręku szabla, w myśli krew — dym

Hulaliżmy, oj hulali,
Oj na jawie były krew — dym,
Z ogniem, z mieczem, przehasali
I wzdłuż i w szerz, Nogaj i Krym.

Ucichł na chwilkę, a potém ponucał, ale smutniéj, ale ciszéj:

Smutna gadka — opłakana,
Mołodzcowi, być w niewoli;
Dla Kozaka, Jasyr Hana,
Oj źle, gorzko, takiéj doli.

Nasz Watażka, za Dunajem,
Czy ma konia, czy zdrów jeszcze,
Czy ze spisą, taj z nahajem,
Czy mu dziewcze w ręce pleszcze.

Oj wy pola, oj wy lasy,
Oj wy moje, lube, drogie,
Dawne, dawne temu czasy,
Jak ja rzucił sioło błogie.

Wstał i szedł dróżyną ku Halczyńcowi, wypatrywał wzrokiem, myślą witał dobrze znane miejsca, i bawił się dumkami o starych ubiegłych czasach.

II.

Nad ruczajem, na osice pstrokata sroczka skrehocze, oj sroczko, skrehocz, skrehocz, a wszystko co wiesz wyskrehocz.

Halczyniec sioło dawna dziedzina Horodeńskich; siedem lat temu nazad, kiedy Bohdan Chmielnicki, matkobójczą dłonią krwawił łono matki Polski, i niedarowanym występkiem niesłuchał rozkazów króla jegomości, króla Polski, nieuszanował matczynego majestatu; w pomoc swoim zbrodniom wezwał na braci Lachów, Tatarzyna Bisurmana. — Wtenczas Konstantyn Horodeński, dziedzic Halczyńca, ośmnastoletni mołodziec, syn jedynak po zmarłym ojcu, krzyknął na swoich: »Hej za spisy, za nahaje — taj na koń!«

Konstantyn Horodeński zaklął się na imie króla jegomości, na imie matki Polski, że z ogniem, z mieczem do Tatarzyna w goście pobieży, że śmierć i spustoszenie w gościńcu mu zawiezie — i na wronym koniku krągło trzystu jeźdźców poprowadził za sobą, na Krym, w goście, z gościńcem.

Wszyscy w halczynieckiem siole widzieli, jak to małe kozacze wojsko szło na boje, raźno, ochoczo, — wszyscy widzieli, jak konie hasowały pod mołodzcami, jak krasne kołpaki, kosmate burki kąpały się w powietrzu; jak nad ramionami sterczały spisy, przy boku błyszczały krzywe szable; jak mołodzce po swojemu, po kozaczu czwanili się postawą, nahajkami wywijali. — Wszyscy słyszeli tentnienie koni, pobrzękiwanie broni, gwarne brzmienie, głośne hukanie wojennéj pieśni.

W Halczyńcu został na gospodarstwie Mikołaj Horodeński, brat stryjeczny Konstantyna, razem z nim wychowany, prawie jednolatka, tylko na nieszczęście kuternoga, niezdobny na kozaka, niezdobny do konia; jemu jakby samemu sobie we wszystkiem ufał, wszystko powierzył.

Pomarli starce, popodrastały dzieci, dziewice powychodziły za mąż, molodyce pobabiały. I lackie i kozacze i tatarskie i moskiewskie nawet wojska przez Halczyniec przechodziły — a jak niewidać, tak niewidać mołodzców pana Konstantyna Horodeńskiego.

Psy zaszczekają, ziemia zatętni, pieśń wojenna w powietrzu zabrzmi; ludzie sielscy przed chaty wybiegają i powiadają sobie: »Może to oni — może to oni. Oj, nie oni — nie ich to koniki, nie ich to spisy — nie ich to nahajki. Och Boże, nasz Boże, czyż my naszych już nigdy a nigdy niezobaczemy.«

Tylko w białym dworze Halczynieckim nie z utęsknieniem pana wyglądają, nietęsknią za nim. Pan Mikołaj Horodeński dawnych sług precz pooddalał, a nowych i to z cudzych siół na służbę poprzyjmywał; — z Chmielniczeńkiem jedno trzymał i ciągle powtarzał: musieli tam gdzieś na Krymie wyginąć, albo jeśli jeszcze nieumarli, to umrą w hańskim jasyrze.

III.

Z osiki zleciała na łozinę sroczka, a skrehocze, — oj skrehocz sroczko a wszystko wyskrehocz. — Niedaleko Halczyńca, o jednę gonę stepowego konia, było sioło Połowecko; przed siedmiu laty panem tego sioła był stary sotnik Neczypor Soledcki, — miał żonę już podbabiałą, syna Stefana, dwudziestoletniego parobczaka, dziarskiego mołodzca; ale ten dawno — dawno temu, pokłonił się panu ojcu, pani matce, siadł na konika, co mu siostrzyczka ze stajenki wywiodła, i pojechał na pohulankę z Konstantynem Horodeńskim.

Miał Neczypor córę, czarnobrewę Tetiankę, czternastoletnią dzieweczkę białego liczka, jak kaliny kwiat, — kraśnego rumieńca, jak zurochwiny jagoda, — wzrostem taka smukła, taka kształtna, taka rozkoszna, jak zielona iwa.

Jak wyprowadzała konika braciszkowi, to tylko troszkę zapłakała, i pocichu modliła się o szczęśliwy powrót dla niego, ale kiedy żegnała Konstantyna Horodeńskiego, to szczerą krwią zakraśniała, bielidłem chusty pobladła, — a kiedy on odjechał, to tak płakała, jakby chciała oczki wypłakać, tak rączki łamała, jakby chciała kości połamać; — dniami i nocami modliła się i trapiła, tęskniła i bawiła się srebrnym pierścieniem, darem Konstantyna Horodeńskiego, — widać, że choć jeszcze dziecina, serduszko u niéj zagadało przed czasem.

Biegły dni za dniami, za miesiącami miesiące — i lata nawet za latami, — a Tetianka jedno a jedno ma i w głowie i w sercu, kochanie i wierność dla pana Konstantyna mołodzca. — Darmo stary Neczypor i matka Jawdocha mówili: »Doniu nasza, przepłaczesz młode latka, i na cóż to się zdało? Jak Pan Bóg się zmiłuje, to da i bez płaczu, a jak nie, to i płacz nie pomoże.« — Ona tęskniła, płakała.

Trzy razy do Połoweckiego dworu przychodzili swatowie z czarną kurką, z kołaczem z pszenicznéj pytlowanéj mąki, z flaszą wódki szómowki, od pana Mikołaja Horodeńskiego — po ręczniki do Tetianki — i trzy razy panowie swatowie wracali do Halczyńca sioła — z czarną kurką pod pachą, z nietkniętym kołaczem w chustce, z nienadpitą flaszą w ręku, bez ręczników.

W kilka czasów po ostatnim powrócie panów swatów, z wojskiem kozackiem i tatarskiem przyciągnął Chmielniczeńko w Kijowskię i w goście zajechał do Mikołaja Horodeńskiego. — Oj, piliż tam, jedli, hulali w Halczynieckim dworze. A ku dziwocie wszystkim pan Chmielniczeńko Mikołaja Horodeńskiego, nie poczesnego urodą, nie rycerskiego sercem, a do tego kuternogę mianował atamanem czernobylskiéj straży — i strażnikiem Berdyczowskiego zamku.

Pan Neczypor Solecki, zagorzały druch braci Lachów, wierny syn matki Polski, nie przyjechał witać niewiary Chmielniczenka, choć to ataman wszéj kozaczyzny — i za to mu źle było.

Chmielniczeńko się rozsierdził, kazał Tatarom, Połowecko sioło zrabować, spalić — a lud Boży bisurmańskim żelazem z tego świata precz żegnać. — Co rzekł, to się stało. — Wieczorkiem Bisurmanie na bachmaty wskoczyli — zakrzyczeli po swojemu: »Ałłah! Ałłah!« — i kopnęli ku Połowecku. — Niebawem, przed północą, nim koguty zapiały; jasne łuno zaświeciło nad Połoweckiem siołem — i ogniste szmaty niby gwiazdy latające ztamtąd podlatywały ku niebiosom — a kiedy kto w kołowrocie Halczyńca sioła przyłożył ucho do ziemi, to słyszał krzyki, wrzaski, jęki, płacze tłumne, gwarne, a wszystko zmieszane razem.

Z białym dniem jeszcze dogorywało, tliło w Połowieckiem siole, bury dym gęsto się kłębił i rozmazywał po niebiosach, — dokoła sioła, psy biegały skumląc i wyjąc, — świnie gromadziły się kupkami, jakby zdziczałe poparskiwały, roch, roch, roch, i parły się ku siołu. Na stepie nie widać samopas konia, ani bydlęcia — wszystko to musieli Tatarowie zabrać, albo może pogorzało z siołem i z ludźmi; — kruki nawet i wrony się niezlatywały, bo jeszcze dla nich nie przyszedł czas.

Szarym zmrokiem dziad i chłopak z Hryszkowieckiego sioła widzieli, jak dwóch Bisurmanów całym pędem bachmatów sadziło bezdrożem do Berdyczowskiego szlaku; — jeden z nich wiózł przed sobą na siodle dziewicę, czy nieżywą, czy omdlałą, i nic więcéj.

Dudarycha, stara baba z Halczynieckiego futoru, szepnęła na ucho swéj jednéj kumie — pod przysięgą na imie Boże — pod zaklęciem się w djabła — że wyraźnie widziała, jak kuternoga na myszatym koniu prowadził Tatarów na Połowecko, — o świcie widziała wyraźnie, jak ztamtąd powracał manowcami; — stary Dudar może i więcéj widział albo wiedział, ale na wszystko odpowiadał: »Moja chata na odludziu, ja nic niewiem.«

Tak zginął z rodem i z dostatkiem stary sotnik Solecki; tak zginęło z ludem Bożym sioło Połowecko.

W kilka dni późniéj za siołem, za Halczyńcem, była biesiada wojskowa. Chmielniczeńko podejmował na niéj lackich posłów i kozaków z Żytomirskiego, z Owruckiego. — Jak się rozochocił niewiara Bohdanko, wyszedł na mogiłę — ręką wskazał na miejsce, gdzie było przededniami sioło Połowecko:

Patrz panie kozacze,
Tam nikt już nie płacze;
A ty rób, skucz wraże,
Jak ataman każe;
Inaczéj dom licho
Będzie jak tam cicho.

Potém obrócił się do posłów lackich, bogato przybranych, jaśnie wielmożnych i wielmożnych panów, i przemówił do nich kozackim językiem:

Patrzaj i ty Lasze
Na mogile stanę,
Okiem na świat hlanę
Po Bug — za Bug nasze.

Zeszedł z mogiły, i krzyknął: »Pijmy! hulajmy!« i pili i hulali, — a muzyka brzmiała, a kozacza pieśń brzmiała — na pogrzeb Połowecku siołu — na sławę Chmielniczeńkowi.

IV.

Sroczka pstrokata znowu podleciała na osikę, i po swojemu skrehocze. Oj, skrehocz sroczko, skrehocz, a wszystko, co wiesz, wyskrehocz.

Chmielniczeńko pociągnął z wojskiem w dalszy pochód, a pan Mikołaj Horodeński nie pojechał hetmanić czernobylskiéj straży, ale za to prawie ciągle siedział w Berdyczowskim zamku — co tam robił, to nie wiadomo.

Kuternoga na powierników ludzi nie przybierał, a schadzek jego z Didkiem nikt nie podpatrzył, rozmów nikt nie podsłuchał; jednak tak to musiało być, bo pan Mikołaj Horodeński prowadził dziwny rodzaj życia. — W parę dni po zostaniu dowódzcą Berdyczowskiego zamku kuternoga zakazał ludziom straży i służby wchodzić do zamkowych komnat; — jeden tylko przechrzta sługa robił ład w tych komnatach, a i on jednak nie miał klucza od narożnéj wieży, kuternoga zawsze go nosił za pasem od strony szabli.

Nikomu ze straży i ze służby niebyło wiadomem, aby w zamku przechowywano jakiego jeńca albo zbrodniarza; — a jednak kuternoga dwa razy na dzień, krom śniadań, objadów i wieczerzy, kazał przynosić sobie najwykwintniejsze przysmaczki, i najkosztowniejsze wina; w każdéj z komnat śladu nie było, aby te łakocie spożywał, te wina spijał — a inni ludzie z cicha powiadali: „Kuternoga i Didko pokumali się z sobą.“ Nie jednéj nocy rybak, pędząc łódkę prędem Hnyłopiata, widział, jak w oknach narożnéj wieży światełko błyskało, podobne do blasku wilczego oka w pustym stepie, pomyślał sobie, może to, co w ciemną noc świeci, próchno ram, albo może i wzrok djabli, — ale nie wiele o tém ludziom gadał. — Nie raz kozakowi straży o północnéj dobie zdawało się, uchem zachwycić, od góry narożnéj wieży, jakiś płacz i jęki, gniewne fukanie, a czasem śpiew smutnéj dumki, co cicho pieści ucho, łzę sprowadza do oka, a serce rozdziera; spojrzał w górę — nic nie widać, i pomyślał sobie, może to wiatr takie dziwy dokazuje, a może djabli ludzką duszę męczą — ale nie wiele o tém przed ludźmi gadał — czy ze sromu, żeby bracia kozacy z niego się nie śmieli, czy ze strachu, żeby kuternoga konopianym powrozem nie kazał mu mowy odebrać.

Tak to się tam działo w Berdyczowskim zamku. — Chmielniczeńko, kiedy mu się nie udało, jak powiadał: djabła wartą szlachtę i rzeczpospolitą wygonić za morza, a króla Polski zrobić królem — umykając z pod Beresteczka na krótki wypoczynek zajechał do pana Mikołaja Horodeńskiego. — Kuternoga bardzo się zakłopotał, a Chmielniczeńko po swojemu za stołem miodek spijał i prześpiewywał:

Oj, nieszwań się panie Lasze,
Było wasze, będzie nasze,
Mam ja szablę, spisę, nahaj,
Zagram szlachcie, dobrze, haj, haj.

Słuchaj mospanku, żydów wyrznąć, wywieszać, szlachtę ładu nauczyć — zresztą Polska niech będzie — ale tak

Nad nami król, to nasz pan,
Pod nim szlachcic, chłop cygan,
A wasza szlachecka rzecz
Z Polski, z Litwy, z Rusi, precz, precz.

Wypił miód i pojechał — a nim miesiąc upłynął, już Chmielniczeńko z nowém wojskiem na Lachów ciągnął. Pod Białącerkwią z panami hetmanami mir zawarł — królowi jegomości przysięgę posłuszeństwa z całem kozactwem wykonał — ale ciągle dumkę marzył, żeby rzeczypospolitéj kark skręcić, a panom szlachcie

tak dać po tabinkach, żeby na wieczne czasy zapomnieli o przywilejach i pałamarce. Bogu to świętemu wiadomo, czemu Chmielniczeńko inaczéj zrobił, jak myślał, jak mówił.

Tymczasem Mikołaj Horodeński dziedziczował spokojnie nad Halczyńcem siołem, dowodził w Berdyczowskim zamku, a żadnéj zmiany nie było w rodzaju życia kuternogi. — Od czasu spalenia Połowecka sioła zawsze jedno a jedno, zawsze toż samo.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd pism.

Historya Literatury polskiéj *przez Michała Wiszniewskiego, Professora Wszechnicy Krakowskiéj. W Krakowie, tom pierwszy. Cena 24 zł. p.* (*)

Łudzeni zbyt częstemi obietnicami uczonych naszych, nieledwieśmy wierzyć przestali, ażali wiek nasz dosyć sił posiada do zreflektowania się w przeszłości. Historja literatury jest to obraz ciągłego przerabiania się myśli narodu, są to dzieje objawiania się potęg umysłowych. Obok każdéj wielkiéj spółeczeńskiéj lub politycznéj epoki, postępuje w równi literatura, bo w niéj niejako odczuwa się każda idea, każda myśl społeczna narodu, każdy postęp i reakcya; i każde tychże kształtowanie. Pisarze nie są to oderwane poetyczne lub rozumowe figurki, po za wiekiem swoim stojące, nie podobne współczesnemu światu jak tylko swoją cielesną powłoką; są oni raczéj typami wieków, ich myśl jest skoncentrowaniem się wszystkich im spółczesnych myśli, objawieniem niejako swojego czasu. Historya literatury jest cząstką wielkiéj księgi dziejów pojęć, gdzieby się odbiła cała przestrzeń, po któréj kształcenie umysłowe ludzkości postępuje; bo te pojęcia w czyn albo słowo ubrać się muszą i napiętnować własną cechą to wszystko, co tylko dziełem współczesnych tym pojęciom wieków. Nad dziejami czynów narodu naszego pracuje wiele rodaków, przysposabiając materyały dla przyszłego historyka; dzieje piśmiennictwa stawia nam autor obecny. Owoc to wieloletnich prac i poszukiwań, które nam sam w przedmowie maluje. Przebiegnijmy ją, aby nie tylko trudności jakie do pokonania miał poznać, ale zarazem ujrzeć w miniaturze obraz, jaki nam daléj przedstawia: »Wiele narodów,« mówi autor w przedmowie, »przeżyło długie wieki, zgasło i upadło niemając dziejopisa. Na ich mogiłach długie panuje milczenie. Cała Ameryka, gdzie przed wieki kwitły wielkie państwa i narody pisać umiejące, ani jednego nie wydała dziejopisa. Wszystko tam niecofniona pochłonęła niepamięć. Po Indyanach, Epipcyanach i Etruskach nie zostało historyi. Grecy, którzy na takich jak Tucydydes zdobyć się mogli dziejopisów, przeminęli także nie wydawszy historyka swojéj bujnéj, samorodnéj i kwitnącéj długo literatury; historyą ich literatury dopiero za dni naszych Niemcy napisali. Jeźli człowiek, jeźli narody rosną i dojrzewają bez dziejopisa, myśl w zawiązku, jutrzenka oświecenia, nauki dopiero rozkwitające, tém łacniéj przed niewprawném ukrywają się łokiem, ztąd początki literatury jak początki narodów, grube osłaniają ciemności. Nikt dzisiaj w Europie nie zważa na słabiutkie zawiązki literatury Romanów. To samo działo się z literaturą polską; do XIX. wieku nikt o jéj historyi niepomyślił. Minął wiek XV., minęły złote dla nauk czasy Zygmuntów, wydała Polska Kopernika, zdobyła się na Naruszewicza, ale do historyi oświecenia i nauk jeszcze się nie zabierano. W XVIII. wieku, kiedy literatura upadła, zaczęto zajmować się bibliografią i krytyką. Za Sasów panowania Hoppius, Braun, Tcheppius, Hoffmann, Olof, Ringeltaube, a późniéj Biskup Załuski i Janocki, wielkie do historyi literatury przygotowania zrobili. Za Stanisława Augusta nikt ani bibliografią ani historyą literatury, prócz Janockiego, nie zajmował się; na użyteczności pierwszéj jeszcze się nie poznano, a drugiéj stopień owczesnego oświecenia nie sprostał. W roku 1814. Bentkowski wydał hasło bibliografom i natworzył bibliomanów, ale do napisania historyi nie przyszło. Nikt, prócz Ossolińskiego, przebąknąć nie śmiał, że jego szacowna książka nie była historyą, tylko do niéj rusztowaniem. Bawili się więc przez piętnaście całych lat bibliografią, nawet tacy, coby byli historyą literatury napisać mogli. Dopiero około 1820. roku, kiedy czasy literatury polskiéj spełniły się, kiedy obiegła już cały okrąg, w którym nauki i losy ludzkie kołują, coraz mocniéj potrzeba historyi literatury czuć się dawała. Pojawiła się albowiem około tego czasu Muza polsko-sławiańska, któréj rodzime rysy i rozlana po twarzy posępność wszystkich zachwyciła. Wieści o tak nadzwyczajném zjawisku po wszystkich zakątach kraju rozbiegły się i jak echo powtarzały. Poezya rodzima, od skruszenia posągów Peruna i Swiatowida, dumném łacińskiéj mądrości pomijana okiem, zwróciła uwagę i tych nawet, którzy dotąd na sam widok rymów wstrętu i nudności zataić w sobie nie mogli. Nie brakło i na przyganiaczach: zazdrosna mierność, głupota, zadawniony nałóg, stanęły w obronie jałowego wierszoróbstwa. Wszczęły się więc po wszystkich dziennikach spory i kłótnie literackie, które jeszcze więcéj ciekawość ludzką zaostrzyły. Wszędzie rozprawiano o téj nowéj jak rozumiano poezyi, a śród tych rozpraw i poswarek literackich, ludzie uczyli się widzieć na co patrzą. Oswoiwszy się z literaturą żyjącą, zapragnęli poznać dawniejszą. Ocknął się zmysł do historyi literatury, gdy dotąd bibliografia wystarczała; więc napisać historyą literatury wielu solennie obiecywało. I to było przyczyną, iż na każdą wieść piszącéj się historyi, na każdą zapowiedź, już wychodzić mającéj, kilka razy, od lat dwudziestu, rzucałem pióro, zostawując pole zdatniejszym, i mało ważąc zebrane materyały, które ile mającemu przystęp do zbiorów Czackiego, póki ich do Puław nie przewieziono, niemałéj były wartości. Wszakże doświadczenie dojrzalszego wieku przekonało mię: że gdy idzie o zrobienie jakiéj przysługi dla bliźniego lub dla nauk, tam się na obietnice, choćby najwspanialsze, drugich oglądać nie należy. Da tego wydaję teraz zapowiedzianą przed kilkoma laty Historyę literatury polskiéj, choć na około słyszę o piszących się dziełach téj saméj treści, a do tego przez mężów, którym chętnie pierwszeństwabym ustąpił.«

»W obrazie tych dziesięciu wieków literatury naszéj, który dla pożytku i zabawy czytelników oddaję, chciałem odświeżyć sławę w dawnych zyskaną wiekach, wydrzeć niepamięci rzeczy, które czas w oczach naszych pochłania; chciałem uczącym się wskazać, które z gałęzi wielkiego drzewa wiadomości ludzkich zaniedbane już uschły, na czém do roku 1840. skończyliśmy, a zatém od czego daléj rozpoczynać wypada, abyśmy nauczeni doświadczeniem przeszłości, dwa razy tych samych nie popełniali błędów i rzeczy przez innych już dobrze wykonanéj, nierozpoczynali na nowo. Jeśli książka moja nie zasłuży na imię historyi, które jéj nadałem, znajdzie tu wszelako czytelnik nagromadzone wiadomości dla przyszłego dziejopisa, których z niemałym mozołem i z zmudzeniem, niekiedy w nader lichych wierszem i prozą ramotach szukać przychodziło. Literatura albowiem polska składa się najwięcéj z luźnych, kilkolistkowych, ulotnych pisemek, które błąkały się samopas i łatwo przepadały; bo ich wartości historycznéj nikt nie przewidział. Nawet owe szumno-głupie panegiryki w nadętych i wyszukanych aż do ckliwości wyrazach, myśl drobną pod grecką i łacińską kryjących uczonością, w których górnolotny styl i zagadkowy napis za największą sobie liczono zasługę, będące źródłem biograficznych i historycznych wiadomości i śladem dziecejącego gustu, trzeba było zbierać i czytać; brnąć przez powódź słów obranych z myśli, w nadziei (która się nie zawsze ziściła) ażali się co ciekawego dla historyi nie znajdzie. Jedna Rawiczanka zabawi i rozśmieszy, ale kilkadziesiąt znie-

*) Obszerną krytykę ważnego tego dzieła późniéj damy czytelnikom naszym.

chęci i najstalszą wytrwałość, zwłaszcza gdy oko odwrócone na chwilę od tego stosu panegiryków, natrafi na książkę, która podnosi duszę, wzrusza serce i umysł oświeca, któréj sam przedmiot mocno zajmuje a kunszt zachwyca. Wszelako nawet i ta panegiryczna literatura; i te potworne pisma stają się ciekawe i uczące, gdy im przy świetle historyi przypatrywać się zaczniemy. Ta myśl, iż książka niniejsza uściele młodszym czytelnikom moim drogę do poznania własnéj literatury, że może stać się dla niéj przewodnikiem na tym rozległym stepie, gdzie długo trzeba bezwodne przebywać piaski, nim się znękany wędrowiec pocieszy widokiem palmy, pod któréj rozkosznym cieniem odetchnie i z czystego zdroju pragnienie ugasi, była dla mnie największém do jéj kończenia zachęceniem i pobudką. Z własnego mam to doświadczenia, iż żadnéj a szczególnie naszéj literatury, bez przewodnika nauczyć się nie można. Ta więc książka każdemu, co się prędko i łatwo z literaturą naszą obeznać zechce, będzie służyła za przewodnika, oprowadzi go za rękę po wszystkich dziesięciu wiekach, pokaże wszystkie ścieżki, któremi się obce oświecenie do nas wciskało, odsłoni panującą myśl każdego wieku i przyczyny obłąkania; namieni o pomocach i przeszkodach, i powie: gdzie dla zrozumienia własnéj, na pobratymcze lub zachodnio-europejskie literatury obejrzeć się należy. Jest to piękny i nader rozległy zawód; literatura bowiem polska obiegła już całe koło, i zwróciła na kolej, z któréj ją był wiek X. wyruszył. Teraz stoi jak dąb stuletni, który odmłodniał w konarach i świeżym liściem się pokrył; jéj historya jest dokończoną, spełnioną zupełnie, i ma cały urok pięknéj i ciekawéj powieści, choć jest prawdziwą. Dwadzieścia lat temu, jeszcze dziejopis nie miał przed sobą tak pięknego pola; przyszłość choć bliska była jeszcze zakrytą; co my teraz wszyscy wiemy, to w ówczas dwóch tylko przepowiadało. Teraz nie tylko na jéj dzieciństwo różne przygody słabego wieku, usterki dojrzałego, klęski, wyrodzenie się, upadek, patrzeć możemy, bośmy doczekali się rozwiązania całéj powieści, doczekali końca téj historyi, pełnego najpiękniejszych, złotych na przyszłość nadziei, które tak świetnie od lat dwudziestu ziszczać się poczęły.«

»Historya literatury polskiéj nie jestto obraz na płótnie rozpięć, albo do Dagerowskiéj przybić się dający tablicy, ale ruchome panorama, w którém coraz inne czasy, coraz inne występują osoby. Tu konny naród własną ręką kruszy bałwany, którym dotąd się kłaniał, a między nim przewijają się księża czescy i chrzczą Polaków na obrządek słowiański. Daléj znowu Włosi, Francuzi i Niemcy urządzają nową hierarchyę łacińską, murują kościoły, mówią i śpiewają po łacinie; a tym czasem wygnani z gontyń słowiańscy kapłani Peruna i Swiatowida, pobudzają Prusaków, Litwinów i Jaćwież do zemsty nad narodem, który dawnéj religii, może z Indyów wyniesionéj, się wyrzekł. Wtém powstaje czerń wieśniacka, burzy kościoły i morduje księży łacińskich, z dziesięcin tylko sobie znanych. Upada religia chrześciańska, gaśnie słabe z zachodniéj Europy przyniesione światełko; lecz Kazimierz wszystko przywraca, a księża Instauratorem go zowią. Teraz dopiero religia chrześciańska nad pogaństwem zupełne w Polsce odnosi zwycięstwo. Na miejscu podań o Leszkach i Ziemomysłach powstają katalogi o biskupach. Na miejscu prawa zwyczajowego, krajowego, zaalpejskie kanony. Już na krzesłach biskupich, na podwyższonych stalach kanonicznych, Polacy zasiedli i ludowi jego własnym językiem ewangelią opowiadają. Duchowieństwo opiekuje się językiem krajowym, choć go vulgaris nazywa. Już wszystko szczęśliwszą zapowiada przyszłość, już słowiańska oświata z łacińsko-chrześciańską kojarzyć się zaczyna, gdy nowa dzicz, niesłychana dotąd i nieznana, która w głębi zapadłéj Azyi, gdzie aż przy murze Chińskim wylęgła się, ujarzmiwszy Rusinów, wpada czarnym i kuczmańskim szlakiem do osłabionéj podziałami Polski i gruzami ją zaściela. Pod ciosem Mongołów upadają nauki, wraz z kościołami, do których się tuliły, gaśnie znowu światło zachodnio-europejskie. Sto lat trwają ciemności. — Wtém wypada cały żelazem okryty, dzielny Łokietek, odcina się Czechom, Krzyżaków pod Płowcami znosi, i spokojniejsze królestwo synowi zostawia. Kazimierz więc Wielki stawia zamki obronne, we wsi Bawoł szkołę prawa zakłada, a w Wiślicy praw Kodeks spisuje, ale zmiera, prawego płci męskiéj nie zostawiwszy następcy. Wszystko więc cokolwiek dla nauk zrobił, znowu upada. Dopiero piękna wnuczka jego Jadwiga swoje perły i klejnoty na podźwignienie akademii przekazuje, a poczciwy Jagiełło, który czułą jéj pamięć do śmierci zachował, a pierścionek ślubny dopiero konając Zbigniewowi Oleśnickiemu jako najmilszą dla siebie pamiątkę darował, dopiero mówię, Jagiełło założył akademię krakowską i do jéj urządzenia Hieronima z Pragi powołał. Krzewi się więc odtąd opaczona, zmarłym językiem przemawiająca mądrość zachodnio-europejska. Ledwie Grzegórz z Sanoka i Ostroróg głosem niepożyczanego rozsądku odezwał się. Reszta uczonych powtarza ślepo, czego się w Paryżu lub Bononii nauczyć mogła i bawi się astrologią. Hussyci na zamku krakowskim kłócą się z teologami akademii, w przytomności Jagiełły, który chętnie gadał po czesku, a Oleśnicki odwraca twarz i zamyka kościoły. Tym czasem naród stroni od mędrców w biretach i togach, z nimi ani jednéj myśli, ani jednego uczucia nie ma wspólnego. Nie zna ich, choć coś tam nawet piszą. Głośnić oni są za granicą, na Litwie, na Soborach bazylejskim i konstancyeńskim ich poważają, ale w kraju nie widać światła, któreby z ich rozchodziło się nauki.«

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Rozmaitości i doniesienia literackie.

Pamiętniki Janczara.

W zbiorze pisarzów polskich, wyszłych z drukarni Gałęzowskiego w Warszawie, wytłoczono poraz pierwszy jeden z dawniejszych zabytków języka polskiego z napisem Pamiętniki Janczara-polaka. Ilekroć je czytałem, dziwiło mię nie pomało, że pisarz znajdujący się z Władysławem III. w wyprawie warneńskiéj, tak mało zajmuje się polskiemi rzeczami i większą nierównie część swego dziełka wiadomościami o ziemi rackiéj i carach syrbskich lub bałamutnemi podaniami o Turcyi zapełnia. Druga rzecz która mię raziła, były gęste defekta całkowitych rozdziałów znajdujące się w témże wydaniu. Niedawno miałem sposobność oglądać niektóre rzadkie książki zbioru Tytusa Działyńskiego. Przy drukowanych przekładach Wargockiego znajdują się dwa spore rękopisy. Jeden z nich zawiera pomienione pamiętniki czytelnie w siedmnastym, jak się zdaje, wieku odpisywane. Rozdziały, które w dawniejszym puławskim rękopisie kapitułami są zwane, idą tu po sobie porządkiem od pierwszego do 46 włącznie, bez żadnych ilem mógł dostrzedz defektów. Ostatni rozdział jest niecały, i kończy się słowami: każdi rok jest summa niemała. Podaje się więc sposobność uzupełnienia powypuszczanych rozdziałów tego rzadkiego zabytku języka polskiego. Lecz nader ważny jest szczegół w rękopisie Działyńskiego, z którego się pokazuje, że Gołębiowski mylnie nazwał tego Janczara polakiem. Na odrzynku bowiem pierwszéj tego rękopisu kartki są te wyrazy: *Poczina się popisanie o tureckich sprawach przez Constantego syna Michała Constantinowicza z Ostrowicze* (tak) *Retha, który bił wzient od Turków między janczary.* Oczywista więc, że ten Konstanty Konstantynowicz był Ret czyli Słowak z ziemi rackiéj którą opisywał, a nie polak. *A**.*

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Ponieważ koszta druku i t. d. zupełnie obecnie są zakryte, redakcya postanowiła odtąd do każdego kwartału pisma swego a później i częściéj, dodawać gratis wizerunek jakiego sławnego współczesnego pisarza lub artysty; i tak bieżący kwartał ozdobiony będzie wizerunkiem M. Czajkowskiego wykonanym w Paryżu.

Redaktor: *A. Woykowski.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*